

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Starożytność rasy ludzkiej” (Antiquité des Races Humaines par G. Rodier). — „Nędza za czasów Frondy” (la Misere au temps de la Fronde par Adolphe Feuillet). — „Dyana w lesie” (Diane au bois) bohaterka komedia Teodora Banville. — „Teatr Arystofanesa” przekład pana Fallex. — Wiadomości literackie.

Czy ludzkość stara, czy młoda? Na to pytanie, nad którym uczeni już nie mało nałamali głowy, można odpowiedzieć dwojako: jeżeli spojrzymy w przyszłość, jeżeli ogarniemy długą drogę, jaką otwiera racjonalna a zarazem religijna teoria postępu, natenczas ludzkość, choćby jej przeszłość miała się przedłużyć o dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy lat, stosunkowo okaże się jeszcze bardzo młoda. Jeżeli przeciwnie, odwrócimy się od przyszłości, a patrzeć będziemy wyłącznie w ubiegłe wieki, wtedy ludzkość wyda nam się bardzo stara.

Wszyscy filozofowie starożytni uważali ludzkość za bardzo starą; jedna tylko biblia za młodą ją uważa: 4,004 lat, wedle textu hebrajskiego; 4,700 wedle textu samarytańskiego; 5,872, wedle podania septantów; 5,963, wedle innych komentatorów — przed erą chrześcijańską Stary Testament dłuższego istnienia nie przyznaje ludzkości. Sama różnica tych czterech dat, dozwalałaby wątpić o ich nieomyślności, gdyby brakowało innych dowodów; atoli na nich nie zbywa. Geologia rozsadziła już ciasne

koło, w które Geneza zakłada dzieło stworzenia: wykazała, że owe sześć dni były peryodami nieokreślonej długości, podczas których ziemia nasza kształtowała się wśród straszliwych konwulsyj. Poszukiwania dokonane na gruncie chronologii i historii przez Champolliona i jego następców, mocno także powagę Biblii nadweryżyły.

Starożytne przypuszczenie dawności rasy ludzkiej, miało podstawę: filozofowie opierali je na rękopisach, napisach i pomnikach odwiecznych. Gdzie brakło śladów materialnych, były podania: w Egipcie, w Indjach przechowywały się one bardzo dokładne; Iran i Chaldea miały także swoje. Wszystkie te wspomnienia na pozór sprzeczne, rozwiewały się dotąd pod tchnieniem pysznej a niecierpliwiej krytyki. Aż zjawił się człowiek cierpliwy, który używszy zupełnie nowej metody, odkrył ślady ludzi na ziemi w cztery razy dłuższej odległości jak ta, którą urodzinom człowieka naznacza Biblia. Człowiek ten, zwracający obecnie oczy uczonów Francji, zowie się Rodier.

Rozpatrzywszy się w pozostałych szczątkach rękopisu Manethowa i Beroza, w resztkach sławnego Papyrusu Champolionowego, w legendach zebranych przez Herodota, Diodora i innych, w pamiątnikach arabskich i w świętych księgach indyjskich; sprawdziwszy wysnute z tego wszystkiego wnioski za pomocą ścisłego rachunku astronomicznego, Rodier zdołał odbudować chronologią i historią społeczności pierwotnych.

Dzieło pod napisem, „*Antiquité des Races humaines*” dzieli się na dwie części. W pierwszej, będącej streszczeniem nader rozległej pracy jeszcze nieogłoszonej drukiem, autor stopniowo cofa się w noc przeszłości, oświecając sobie drogę nauką. W drugiej postępuje przeciwnie: bierze rzeczy od początku, i wiezie aż do czasów Alexandra.

Pan Rodier twierdzi, iż z pomocą astronomii i chronologii, może oznaczyć dokładnie czas istnienia kilku epok zasadniczych. I tak, egipską erę Ma, stawia 14,611 lat przed narodzeniem Chrystusa; epokę reformy kalendarza irańskiego, dokonaną przez króla Dzenschid, znaczy rokiem 7,048; początek okresu zwanego Saba-Voug, rokiem 13,901, okres Tetra-Young zdaniem jego przypada na rok 9,101 u Indyan; epoka reformy kalendarza egipskiego do-

konaną została roku 4,286, epoka reformy kalendarza ba-byłońskiego roku 2,783. Z mniejszą pewnością twierdzi Rodier, iż indyjska era Manouantars, przypada na 19,337 lat przed naszą, a era egipska Thoth'a na 17,932.

Są to przypuszczenia śmiałe. Tylko astronomowie mogą stwierdzić to, co autor swojemi *sprawdzeniami astronomicznemi* zowie. My ograniczyć się musimy na daniu pojęcia o środkach, jakimi pan Rodier prawd swoich dochodził: co także nie jest rzeczą łatwą, bo wszystko w jego wykładzie wiąże się jak w zadaniu algebry. Sprobujemy jednak, gdyż ta ważna książka na uwagę powszechności zasługuje: prawdopodobnie przemieni ona z gruntu, naukę czasów przedhistorycznych.

Rzecz swoją rozpoczyna autor chronologią egipską, wyczerpniętą z Manethon'a. Jak wiadomo Manethon był to kapłan egipski, któremu Ptolemeusz Filadelf założyciel biblioteki alexandryjskiej, porucił skreślenie treści- we dziejów krajowych. Manethon pisał po grecku; był bardzo uczony, mógł odczytywać napisy, rozumieć żłobio- ne obrazy historyczne, rękopisy, księgi święte, oraz legen- dy tak liczne i bogate w starym Egipcie; wnosić można, iż nie było zwykły kompilator: miał zasadę i umiał wy- bierać. Niestety dzieło jego nie przechowało się do naszych czasów; zostało z niego tylko kilka wyjątków przy- toczonych w starożytnych kronikach, a i te wyjątki zosta- ły poprzekręcane przez kopistów celem pogodzenia dat Manethon'a z podaniami Biblii. Badający dotąd ten przed- miot erudyci, cofnęli się przed trudnościami wynikające- mi z tych fałszerstw. Rodier, pierwszy porównywając skazówki Manethon'a z najstarszym ze znanych papyru- sów znalezionym w kawałkach i odczytanym przez Cham- pollion'a, domacał się prawdy.

Początki społeczności egipskiej Manethon stawia na 30,000 lat przed Chrystusem. Żadne atoli pamiątki wy- rażne nie wiążą się z pierwszymi okresami istnienia tego ludu. Pierwsze próby metody sprawdzania astronomicz- nego Rodier stósuje do okresu Ozirisa, około r. 19,564 przed naszą erą.

Imię Ozirisa jest najpopularniejsze w podaniach egipskich: był on mytem? czy żył w istocie i został po

śmierci ubóstwiony jak wszyscy ówczesni bohaterowie? Różni różnie twierdzili. Manethon przytoczony w kronice Euzebiusza powiada, że to był jeden z najpotężniejszych królów egipskich. Rodier każe mu wierzyć i w ten sposób prawdę słów egipskiego kapłana motywuje: Diodor przytacza starożytną legendę opiewającą ogromny wylew Nilu, który zupełnie zniszczył okolice za panowania Ozirisisa „w czasach, kiedy gwiazda Syrus *wstawiała słonecznie*”, to jest z pod promieni słonecznych wychodziła, ażeby przez rumieniec jutrzeńki na wschodnim nieboskłonie się ukazać. Otóż ta okoliczność za nonsens poczytana przez uczonych, wedle rachunków astronomicznych Rodier'a okazuje się prawdziwą. Powiada on, że tak rzeczywiście musiała się ukazywać ta gwiazda w owym czasie. W odległości 21,000 lat zadanie może być rozwiązane tylko w przybliżeniu, ale z omyłką co najwyżej trzech wieków, fakt jest nie zбитy.

Za czasów Ozirisisa Egipcjanie żyjący ciągle pod gołym niebem, nabyli pewnego pojęcia astronomii; nauczyli się mierzyć czas dość regularnie, gdyż miara czasu prócz że jest pierwszą potrzebą rozwijającego się ludu, była u pierwotnych ludów potężnym środkiem wpływu duchowieństwa. Astronomia uważana za naukę świętą, stanowiła gałąź teologii. Ona to naznaczała uroczystości publiczne, kierowała robotami i ruchem ludności; oznaczała nawet czas rewolucyj politycznych. Wszystkie wielkie zmiany dostrzeżone w pomroce wieków, odpowiadają zjawiskom niebieskim tak znacznym, iż mogły służyć za podstawę reformy kalendarza. To wiązanie ziemi z niebem dozwala dziś jedynie dojść prawdy: ślady na ziemi znikły, ale odpowiednie im na niebie zostały; ztąd dochodzenie epoki dziejów starożytnych za pomocą astronomii, jest pomysłem genialnym.

Wszystko co wiemy z pierwotnych okresów dziejowych Egiptu, odnosi się do przemian w sposobie liczenia i oznaczania roku.

Egipcjanie utrzymują, że w samych początkach swojej oświaty, wynaleźli cykl tygodnia, pochodzący z podziału na cztery równe części miesiąca księżycowego złożonego z 28 dni. Jakoż u nich wyłącznie znajduje

się tłumaczenie porządku na pozór dziwnego, w którym każdy z siedmiu dni otrzymuje nazwisko jednej z siedmiu planet. Prawdopodobnie za Oziris'a ustanowiono rok złożony z miesięcy trzynastu, każdy po cztery tygodnie, a dni trzystu sześćdziesięciu czterech, który jednocześnie wprowadzono do Indyi.

W okresie Horus'a, 18,790 lat przed Chrystusem, wprowadzono podział roku rolniczego, złożonego z trzech pór czteromiesięcznych.

W początkach okresu Thoth'a, pomiędzy 17,932 a 17,732 przed naszą erą, zastosowano rok jednostajny złożony z 360 dni, oparty na podziale ekliptyki na 360 stopni, a podzielony na dwanaście miesięcy równych, trzydziestodniowych.

Rodier kilku argumentami powyższe twierdzenie popiera! przytaczamy jeden wysnuty także z położenia Syrusa. Nowy rok wprowadzono podczas jesiennego porównania, kiedy Nil wzbierał najwięcej. Pierwszy miesiąc zwał się Thoth, od wynalazcy tego kształtu roku; gwiazda Syrus także nazwaną została gwiazdą Thoth'a, bo w dniu poczęcia tej reformy astronomicznej zjawiła się nad kataraktami Syenu; czyli, że na szerokości geograficznej tego sławnego miasta wtedy położonego pod równikiem, od którego przemiany skośności ekliptyki odsunęły ją później w dzień porównania jesiennego, słońce i Syrus przychodziły razem na nieboskłon wschodni.

Może kto zarzuci, że sprawdzenie jakkolwiek uczone, zjawisk niebieskich tradycyjalnych, przedzielonych od siebie przestrzenią dwudziestu wieków, a od nas przepaścią dwudziestu tysięcy lat, nie jest dość pewne, ażeby na niem można było oprzeć prawdziwość dat historycznych, któreśmy wyżej przytoczyli. Jestto wina naszego wykładu koniecznie niedostatecznego, a nie wykładu pana Rodier. Przyjęty przez niego wykład jest tej natury, że skrócenia nie znosi. Pierwsza część tém mniej nadaje się do streszczenia, że sama jest, jakto powiedzieliśmy wyżej, treścią dłuższej pracy. Czytając, nie można się oprzeć ścisłemu rozumowaniu autora.

Wywody pana Rodier przypominają proceder Edgara Poë, amerykańskiego romansisty, który napisał owe dwa

arcydzieła literackiej algebry: „Złoty motyl” i „Przygoda na ulicy Morgue”. Rodier w równym jak Poë stopniu posiada zmysł wyciągania wniosków; dar, że tak powiem, wietrzenia prawdopodobieństwa wiodącego do pewności. Wszystkie te zalety wybijają w sposobie wykazywania faktów odnoszących się do okresu Oziris’a, Thoth’a i odbudowaniu epoki Ma.

Ere Ma, do której się odnosi trzecie sprawdzenie astronomiczne pierwotnych dziejów Egiptu, Rodier stanowczo stawia 14,611 lat przed Chrystusem. Z urywków dzieła Manethona domyslić się można, iż początek téj ery znaczy rewolucja polityczna, która władzę jednego, monarchią, zastąpiła synarchią, czyli panowanie jednocześnie kilku małych władców zwanych Nekuas’ami.

W tymże czasie Rodier stawia ważną reformę kalendarza i przypuszcza, iż było porozumienie pomiędzy tą rewolucją a reformą: pierwszą wymierzono przeciw panowaniu duchownych, drugą przeciw ustawom astronomicznym Thoth’a. Zupełna zmiana kształtu i podstawy roku zwyczajnego była konieczna. Rok cywilny złożony z 360 dni a zaprowadzony przez Thoth’a, był zbyt krótki i zmieniał się zbyt nagle w stosunku do roku astronomicznego; nadto, wychodził z punktu niedokładnego, bo Syrus, którego wschód użytkowano za czasów Thoth’a, oddalał się stopniowo ku południowi, grożąc, iż za parę wieków zniknie zupełnie z nieboskłonu egipskiego: gwiazda ta nie odpowiadała już stanowi nauki.

Uczeni Egipcjanie znali już cofanie się znaków równonocnych; prawdopodobnie zdawali sobie nawet sprawę z ruchu trudniejszego do obrachowania, który zmienia kąt pomiędzy linią porównań a wielką osią obwodu kuli ziemskiej. Ażeby obrachować swój nowy rok cywilny, reformatorowie wybrali punkt na samej ekliptyce: podzielili rok na 365 dni, a ponieważ jeszcze był za krótki stosunkowo do roku astronomicznego, oznaczyli wartość dokładną czasu za pomocą kombinacji dwóch cyklów religijnych: podzielili ekliptykę na dwanaście równych części, utworzonych z tyluż gromad gwiazd, zajmujących każda przestrzeń trzydziestu stopni i odróżnili je gołdami wyobrażającymi w dniu rozpoczęcia ery Ma,

najcharakterystyczniejszą okoliczność miesiąca, któremu miała odpowiadać część każda: w taki sposób ułożono zodyak.

Z tego to powiązania znaków zodyaku ze zjawiskami wyraźnemi miesięcy roku wstępnego, pan Rodier wyciąga najmocniejsze dowody na poparcie wyraźnie oznaczonej daty ery Ma. Rok reformowany zaczynał się od przesilenia letniego. Dla usprawiedliwienia znaczenia nowych godeł egipskich, słońce w chwili przesilenia 14,611 lat przed naszą erą, powinno było zajmować na niebie właściwe stanowisko. Jakoż rzeczywiście obrachunek wykazuje, że słońce było wtedy na Wodniku (znak styczniowy zodyaku) o 180 stopni od punktu, gdzie błyszczała w sferze gwiazd stałych, gwiazda Regulus na skraju gromady Lwa. Tak więc, dodaje Rodier, począwszy od Regulusa, wpada się ośm razy na skraje konstellacy zodyakowych takich, jak je dziś jeszcze rysują; przekształcenie czterech innych łatwo wytłumaczyć.

Czwarte sprawdzenie astronomiczne historii dokonał Rodier na epoce daleko nas bliższej, na lat 4,286 przed Chrystusem. I tu chodzi jeszcze o reformę kalendarza odpowiadającą rewolucyi politycznej, stwierdzonej przez Herodota. To sprawdzenie tém więcej jest zajmujące, iż dokonaniem było z pomocą kalendarza kościelnego.

Pomijamy uczone odbudowanie starożytniej chronologii Indusów, Chaldejczyków, Greków i Hebrajczyków, gdyż naukowa część książki już i tak dosyć miejsca zajęła, a należy jeszcze powiedzieć, w jaki sposób autor przedstawił obraz historii ludów pierwotnych przedłużony o lat dwadzieścia pięć tysięcy.

Czy rasa ludzka z jednej, czy nie z jednej wyszła pary, o to wcale nie troszczy się pan Rodier. Pominąwszy tę niedościgłą tajemnicę, rozpoczyna obrazem pierwszych objawów życia społecznego, wedle tego, jak mu się to życie przedstawia w ciemności epok bez nazwy. Powiada, że przeszło na 24,000 lat przed naszą erą, już istniały na ziemi rozmaite rasy. Rasa australska, czyli Negrowie zamieszkiwali Afrykę na południe Sahary, dziś pustyni, a wówczas prawdopodobnie morza wewnętrznego. Murzyni także zamieszkiwali rozległy ląd stały, później za-

lany, którego szczątkami wydaje się być Madagaskar, Australia i Oceanidy. Inna rasa, z której pochodzą ludy żółto-cerne, osiadła w Azji, w Europie i Ameryce; prawdopodobnie z krzyżowania tej rasy z murzyńską, zrodziła się pod-rasa, której szczątki pozostały jeszcze w ludy i Afryce południowej.

W północnej Azji żyła trzecia grupa, która wyjść mogła z ludności żółto-czerwonej, a została umysłowo daleko lepiej uposażona od natury. Tej rasie Rodier nadaje nieokreśloną nazwę Proto-Scytów; mniema on, iż przed rokiem 24,000 ten szczep płodny rozszedł się po Azji, nawet przez północną Afrykę ku Europie zawędrował i do Ameryki przebrał się przez tajemniczy łąd stały, później zalany, o którym jeszcze za czasów Platona ludzie pamiętali i nazywali go Atlantydą.

Owe pierwotne hordy nie wzniosły się jeszcze do pasterskiego życia; mało różne od zwierząt żyły z polowania i rybołówstwa. Język ich był dziecięcym bełkotaniem.

Zbyteczna mówić, że wszystkie te dane początkowe są tylko przypuszczeniami; jednak opierają się na podaniach bardzo dawnych, jak również na niezmienności niektórych ras jeszcze istniejących, które po dziś dzień zachowały w rysach, języku i obyczajach widoczne szczątki pierwotnych typów ludzkości.

Parę tysięcy lat później, jawią się już daty obliczone w przybliżeniu; szczep nazwany w Biblii rasą Jafeta, a przez Rodiera rasą indo-europejską, wychodzi na scenę.

Oswoiwszy rozmaite zwierzęta, potomkowie Jafeta rozpoczęli życie pasterskie na równinach położonych pomiędzy północnym biegiem morza Kaspijskiego, a pasmem gór Altai, prawdopodobnej kolebce swych przodków Proto-Scytów. Ztąd ten szczep wysłał ku zachodniej Azji i Europie osadników, z których z czasem wyszli Celty, Germany, Traki i Pelazgowie, czyli Proto-Grecy.

Rasa semityczna zjawiała się na brzegach Egiptu i Tygru.

Wszystkie te wielkie ruchy i migracye ludów, pan Rodier mieści pomiędzy rokiem 24,000 a 20,000 przed naszą erą. Do tejże epoki legendy egipskie odnoszą po-

czątek znakomitej oświaty Atlantów, których w głębiach swoich pochłonał ocean. Najważniejszym atoli wypadkiem owego okresu jest ogólna migracya na południe pasma gór Himalaya, Jafetowej rodziny Arias'ów, czyli Irańczyków, którzy zamieszkiwali północną Azyą, pierwotną Aryą.

Święte księgi Iranu wspominają o straszném zimnie, które Bóg zesłał na ten kraj używający przedtém łagodnej temperatury: temu zimnu przypisują one przesiedlenie Arias'ów. Zkąd pochodzić mogło to zimno? Rodier, stronnik Adhemar'a teorii peryodycznych potopów, domyśla się, iż powodem ostudzenia powietrza być musiało pęknięcie lodów pod biegunem północnym, które to pęknięcie wstrząsając ziemną skorupą, spowodowało w północnej Azji podniesienie gruntu dość znaczne, ażeby mogło całkowicie przemienić warunki klimatu.

Czy taki był powód czy inny—dość, że na 20,000 lat przed naszą erą, Ariasy ruszyli ku południowi, a spędziwszy krajowców, osiedli na dolinach kąpanych wylewami Gangesu i Indusu. Wtedy już prawdopodobnie dzielili się na dwie gromady, z których jedna mówiła narzeczem zendzkiem, a druga sanskryckiem, a które po kilku tysiącach lat rozłączyły się zupełnie.

Rodier nie dowolnie tak odległą datą, migracyą Arias'ów oznacza. W analitycznej części swęj książki sprawdza chronologicznie i astronomicznie epokę, w której najdawniejszy prawodawca Indusów, pierwszy Manu, nadał prawo cywilne i religijne potomkom emigrantów aryjskich. Działo się to na 19,337 lat przed Chrystusem.

Począwszy od epoki Manu, prawie spółczesnej egipskiemu okresowi Ozirisa, Rodier opuszcza pole przypuszczeń a rozpoczyna właściwą historią, historią dziwną, jałową, prawie niemą przez długi łańcuch wieków; z zamkniętych swych przepaści wyrzucającą zaledwie imion kilka i kilka wspomnień przyciągających swą niedościgłą tajemniczością.

Owe tysiące lat ciemnych, wśród których tylko gdzie-niegdzie, w niezmiernej od siebie odległości, błyszczą jasne punkciki, ogromne czynią wrażenie! Rozbudzona dżiwy tworzy! Czytelnik wyobraża sobie te olbrzymie dziejo-

we okresy jako morza bez końca, po których od czasu do czasu, apokaliptyczne szaleją nawałnice... widzi mrowisko istot ludzkich zgiętych pod jarzmem rządów teokratycznych, żyjące życiem biernym, bezwładnym, używające ziemię swym potem, pobielające ją kosmami swymi... widzi to mrowie pracujące pocichu nad opanowaniem natury jeszcze buntowniczej i dzikiej, potrzebujące niezmiernego przeciągu czasu na przyswojenie sobie innej myśli i postawienie jednego kroku naprzód; drżące przed groźnym głosem natchnionych kapłanów, posiadaczy wiedzy wyższej, w Egipcie bijących czołem przed Syrusem, w Indjach przerażonych szumem wichru, łuną błyskawic i hukami gromów... Widzi to mrowie nadziemskim podmuchem gnane do morderczych zaborów i krwawych rewolucyj, a na koniec tonące w nurtach potopu...

Od Ozirisa do Manu, do Ninusa i Semiramidy, w okresie złożonym z lat siedemnastu tysięcy, ile walk, ile zmaszowań w starciu ludów! ile wstrząśnień, ile jęków rozpacz, ile wypadków zagubionych pomiędzy etapami znalezionymi tu i owdzie przez Rodiera na pierwotnej drodze ludzkości. Etapy te chociaż nie liczne, tworzą obraz chronologiczny dość rozległy: przytaczamy tu kilka najważniejszych okresów.

Wspomnieliśmy już wyżej erę Thoth'a 17,932 lat przed Chrystusem, naznaczoną rewolucją astronomiczną i poddaniem Egiptu pod rząd teokratyczny; wspomnieliśmy erę Ma (14,611) oddziałującą na poprzednią, układającą nową reformę kalendarza, oraz restauracją monarchii. Na lat 13,901 przed naszą erą rozpoczyna się u Indian peryód drugiego Manu (Manu Satyaurata), który odnowił dawne ustawy cywilne i religijne tej strony świata i przyjął zodyak egipski.

W téjże epoce mieszczą się dwa najważniejsze wypadki téj odbudowanej historii: rozerwanie ostateczne po wiekowej walce, dwóch gałęzi rodziny Ariasów, Indusów i Iranianów; zagnanie tych ostatnich nad brzeg morza Kaspijskiego, gdzie stworzyli nowe państwo wraz z nową religią; następnie wielki potop, który zburzył ziemię Indyi i otworzył zarazem równiny Eufratu i Tygru, zniszczył prawie ze szczętem rasę semityczną zostawiając ich po-

tomkom wspomnienie przerażenia, którego ślady znać w opisach biblijnych i legendach chaldejskich.

Na 11,466 lat przed naszą erą, upadł w Egipcie rząd monarchiczny, a około roku 9,000, Jaones'y, Jończycy czyli Grecy pierwotni osiedli w Europie, przyszli pomagać Egipcyanom w wojnie wydanej przez tych ostatnich ludom zamieszkałym na stałym lądzie Atlantyd.

Około roku 6,260 przyszedł prorok Zoroaster, i rozniecił w łonie Iranu gwałtowne kłótnie religijne, których padł ofiarą zreformowawszy starą religią Irańczyków. W roku 5,853, jawi się w Egipcie Menes, restaurator monarchii i pierwszy król trzydziestu jeden dynastji, które po sobie następowały aż do podboju Alexandra.

Do tej epoki Rodier swój wykaz chronologiczny doprowadza, prostując daty znane, w miarę przybliżania się do klassycznej starożytności. W tym wskrzeszonym ruchu dziejowym to najwięcej uderza, że nie znać ażeby w długim paśmie wieków pierwotnych, człowiek na jedną chwilę miał poczucie siebie samego, poczucie własnej godności. Widać dwa instynkta potężne, które władają masami i pędzą je, jak wichur tuman kurzawy: instynkt religijny i instynkt narodowości. To były jedyne pobudki ówczesnych walk zażartych pomiędzy różnorodnymi plemionami. Po za zbiorowością, po nad którą unosi się dogmat absolutnego posłuszeństwa, człowiek nie był niczem; prawo jednostek nie istniało. Trzeba zejść aż do Greków, ażeby spotkać pierwsze wyobrażenie wolności, ażeby oglądać rozkwit uczucia osobistej niepodległości. Fakt ten, nader bolesny, gdyby nie był w zgodzie z naturalnymi warunkami prawa postępu, stwierdza pan Rodier, przez co dodaje do ważności naukowej swojego dzieła, wartość wysokiej a zdrowej filozofii.

Nagrodzone przez Akademią znakomite dzieło Alfonsa Feuillet „*Nędza za czasów Frondy*” jest krwią i łzami malowanym obrazem najokropniejszych nieszczęść, w jakie ludzkość popaść może na tym padole płaczu; jestto odwrotna strona medalu: zaćmienie *zupełne* wersalskiego

słońca, które tak olśniło ludzi w pobliżu stojących, że nie prócz promieni jego nie widzieli.

Słowa Ludwika XIVgo „l'Etat, c'est moi” streszczają całą historią którą dawni dziejopisowie przekazali potomności, a która nie jest niczém inném, jeno niesmacznym panegirykiem głów ukoronowanych. Czytając pamiętniki Dubuisson'a, anibys się domyślił, że w XVII wieku Francya umierała z głodu: dowiesz się z nich, że dworowi nigdy nie brakowało pieniędzy na zabawę. Od lutego do maja 1651 roku, kiedy drogi pokryte były trupami, wsie wyludnione, cmentarze przepełnione, kiedy stada wilków przychodziły aż do miast pożerać chore niewiasty i dzieci; podczas téj zimy srogiéj, żaden tydzień nie minął żeby nie było wielkiego balu, albo maskarady, w wersalskim zamku. Nawet wojenne wyprawy nie przeszkadzały zabawom. „Le Roi continue de prendre ses divertissements” pisała Gazeta francuzka, co dawało do zrozumienia, że kiedy król wesoły, poddani nie powinni być smutni.

Nie tylko nie zaradzano nędzy okrutnéj, ale nikt nawet o niéj nie mówił, bo nędzę w XVII wieku uważano za karę grzechu pierworodnego: chęć zapobieżenia jéj była więc bezbożnością, zuchwałym buntem przeciw wyrokom Opatrzności.

Wypowiadając tę zasadę, pan Feuillet wszystko tłumaczy. Znakomita jego praca jest energiczną protestacyą przeciw historyi oficjalnéj, dokonaną nie za pomocą częściej deklamacyi, ale spokojnego przytoczenia mnogich dokumentów. Nie jestto właściwie mówiąc historia, ale zbiór materyałów dla przyszłych dziejopisów: *Sparsa colligo*, jak ją zowie autor. Jednak wielką powagą są te „rzeczy rozpiezchłe”, te świadectwa wydane przez tysiące rozmaitych ludzi, znalezione w regestrach proboszczów, w zapiskach merów, w dziennikach notaryuszów, w listach zakonnic, w protestacyach całych gmin, w petycyach miast uciśnionych: wszystko, są to żywioły prawdziwej historyi: krzyki i narzekania nędznego ludu.

Dzieje dawnéj monarchii, powiada Feuillet, można streścić w trzech słowach: wojna, głód, zaraza. Kiedy się patrzy na to krwawe pasmo walki i klęsk wszela-

kich, wydziwić się nie można, że naród mógł przeżyć to wszystko.

Dawna organizacja społeczności francuskiej, przedstawia zdumiewający stek fałszywych miar, praw niesłuszných, potwornych przywilejów, niesprawiedliwych podatków i barbarzyńskich przepisów. Opowiadanie wypadków zaszłych tak niedawno, wydaje się relacją z pierwotnych wieków barbarzyństwa. Teraźniejsze pokolenie Francuzów przyzwyczajone do jednności narodowej i opieki praw sprawiedliwych, nie może nawet dokładnie wyobrazić sobie krwawego chaosu i ciemności, w które stary świat zagnały dowolne prawa i ucisk możnych. Prowincye ustawicznie szarpane przez konającą władzę feudalną i rosnącą władzę królewską, były polem harcu wszech-nienawiści, służyły do nasycenia wszech-zemsty. Od XVIIgo do XVIIIgo wieku lud był ofiarą, na którą spadało wszystko złe. Eksploatowany przez szlachtę, zdradzany przez królów, on wszystko zapłacił, wszystko poniósł, wszystko odpokutował.

W 1789 roku Francya liczyła jeszcze 70,000 dóbr lennych. Jakież zamieszanie w kraju musiało sprawiać tyle granic? Jakież mogło być rolnictwo przy takim stanie własności gruntowej? Ażeby dobrze uprawiać ziemię, trzeba ją kochać; ażeby ją kochać, trzeba ją posiadać. Otóż, ziemia francuska wówczas cała prawie należała do szlachty i duchowieństwa; ani jedni ani drudzy nie mieli pojęcia o ulepszaniu gospodarstwa; jedni i drudzy chciwi nad miarę, wysysali tylko soki z téj ziemi, nie troszcząc się o nią bynajmniej.

Taki podział mienia musiał wykopać przepaść pomiędzy dwoma ludnościami Francyi: możną i ubogą. Po jednej stronie ubogi poddany, przygnieciony podatkiem, obarczony pracą; po drugiej, eksploatator: tyran straszliwy, który na przemiany zwał się to królem Francyi, to panem feudalnym, to lansknechtem, to rabusiem. „Ktokolwiek nosił przy boku szablę, powiada Michelet, był królem i robił co mu się podobało. Nie było ani ludzi ani narodu, tylko brutalstwo wojny i jego twarde narzędzie, żołnierz. On wtedy panował: wydano mu naród,

jego mienie, i życie, duszę i ciało, mężczyzn, kobiety i dzieci: wszędzie był płacz, wszędzie krzyki!"...

Pierwsza połowa XVIIgo stulecia przypomina we Francji okropności wieku XVIgo, owego najtragiczniejszego aktu w dziejach ludzkości. Okolice nadgraniczne najczęściej ucierpiały: Pikardya, Szampania, Lotaryngia, Burgundya, dziś kwitnące, wówczas były pustyniami. Wojska królewskie znały pochód swój ruiną: zajęte wsie i miasta topiły we krwi lub puszczały z dymem. Jeden nocleg jednego korpusu kosztował w przecięciu 10,000 franków. Miasto Marle, które wtedy nie miało 1200 mieszkańców, w ciągu lat dwunastu wydało na kwaterunek 667,000 fr., około 55,000 rocznie. Kroaci Jana de Werth mordowali nawet dzieci w kolebkach: po ich przejściu nie było już ani zbioru, ani orki, ani siejby; wszędzie chaos: płomienie zabierały, czém grabież wzgardziła. Wieśniacy, którzy zdołali uciec z życiem, w północy uciekali do lasów umierać z głodu i zimna. W prowincyi la Marche, głód i zaraza były nieustające. Lud żył trawą dopóki była: chleb pieczono z siekaney miotły, wrzosu i mielonych skorup włoskiego orzecha.

Burgundyi stan nie był lepszy. W czerwcu 1643 roku, wybrańcy téj prowincyi pisali do księcia Kondeusza swojego gubernatora, że ludność tuła się jak trzoda bydła, że głód wszystko wyniszczył, że większa część wiosek stoi pusta.

W Lotaryngii wilcy zwábieni trupami, w domach zamieszkały jak u siebie: zjadały umarłych i żywych, zbyt słabych, żeby się bronić mogli. Zdechłe zwierzęta wszelkiego rodzaju, chciwie pożerało ubóstwo: jak świat światem, zboże nie było równie drogie jak w 1642 roku we Francji.

Prowincye, których nie szarpała wojna, łupił podatek, niszczył głód i zaraza. Stany normandzkie w 1634 roku wyrzekły te słowa: „Podatki powiększyły się do tyła, że ściągają pozostałą na ciele koszulę”.

Rozpacz powszechna powoli w bunt się przerodziła: w Normandyi utworzyły się bandy bosaków (Va-nu-pieds), w Guiennie rozbijali *krokanty*. Rozbój stał się stanem normalnym téj nieszczęsnej społeczności. Trzeba wierzyć

relacji Feuilleta, gdyż nie przytacza faktów wyjątkowych: maluje on powszechny stan kraju wedle dokumentów urzędowych owego czasu, w którym wola mocniejszego zawsze przeważała szalę sprawiedliwości. Rozbój był więcj niż cierpiany wtedy, był upoważniony: „Dzielny i szlachetny Saint-Prieul, pisał Ludwik XIIIty w 1640 r. do gubernatora Arras, żyj z przemysłu: skub kurę tak żeby bardzo nie wrzeszczała; czyn jak drudzy czynią na swoich gubernatorstwach. Masz wszelką władzę i wszystko ci jest dozwolone”.

Panowanie gwałtu wywarło wpływ fatalny: każda dusza ludzka pod obuchem nędzy omdlała w poczuciu swj niemocy. Godność znikła, ustały protestacye; wszystko umilkło w ostatniej godzinie. Cała Europa oniemiała na chwilę; a kiedy Gustaw Adolf, ażeby pomścić nieszczęsny kraj podobnie jak Francya splądrowany przez Walensteinów i Janów Werth, chciał słuchać skarg, wytoczyć proces ludu, zastał wszystko zagasłe: oburzenie, bunt, nawet niechęć w duszach umorzono. Ludzie zbici, odarci, zbezczesczeni, oświadczyli że wszystko dobrze idzie: nikt nie śmiał się skarżyć!

Takie było położenie Francyi w początkach frondy, takie było i po tej wojnie. Niechże teraz kto śławi wedle prawowiernych tradycyj, pełen chwały wstęp do panowania Ludwika XIVgo.

Ażeby przyjęto wybór Mazarina, Anna Austriaczka zmuszoną była kupić sobie zadłużoną szlachtę, to jest, wydać jej na łup Francją. Grabież niesłychana, bezprzykładna, wnet pochłonięła skarb, na pół próżny w chwili skonu Ludwika XIIIgo. Skoro pieniędzy brakło, rozdawano przywileje; a kiedy już nic do dania nie było, kiedy wyczerpana Francya jękiem odpowiedziała na nielitościwe dworskie rekwizycye, Mazarin musiał odmawiać. Od tej chwili poprzysiężono jego zgubę.

Wtedy, podczas tej wojny szczególnej, nazwanej frondą, zdarzył się fakt dowodzący jak niezależne od wpływów ziemskich są ludzkie popędy. Lud obarczony królewskimi podatkami, zapomniawszy długich wieków prześladowania feodalnego, połączył się ze szlachtą, swoją ciemnizycielką, przeciw królowi. Niespokojny, trwożny,

lud, zdawał się przeczuwać, że sroższy jeszcze tyran wyrośnie dla narodu, z pysznego dziecka które regentka i Mazarin powoli do absolutnej władzy sposobili. Nawet parlament, ta odwieczna królewska instytucja, która od ś. Ludwika była zawsze zewnętrzną formułą, woli monarszej, nasrożył się, i zaintonował przegrywkę do wielkiego buntu 1789 roku.

W tój walce, jak zwykle lud ucierpiał najwięcej: ciosy królewskie odbijały się od rycerskiej zbroicy, ale w ciało proletaryatu grzęzły jak w glinę. Szlachta mogła w tój wojnie, w najgorszym razie utracić kilka przywilejów: lud musiał w nią postradać ostatni kawałek chleba.

Od pierwszego zajścia, rozruch szerzył się jak ogień na wrzosie. Wojna wnet wybuchła wszędzie; wojska znów plądrowały wsie, a lud umierał pomiędzy żołdactwem króla i siepaczami panów feodalnych.

Po przegranej pod Charenton okrutna nędza nastąpiła w okolicach Paryża: zimową porą wieśniacy odarci uciekli do lasu, a kobiety szalone głodem i rozpaczą zabijały własne dzieci, ażeby je od podobnego losu uchronić. Wszystkie stosunki życia zwyczajnego ustały. Włościanie, którzy już nic nie mieli do dania, byli żywcem ze skóry odzierani, paleni, lub zaczadzani...

Pióro się wzdryga i nie chce powtarzać okrucieństw opowiadanych przez Feuillet'a; mianowicie zimne okrucieństwo *Wielkiego Kondeusza*, dreszczem zgrozy przejmuję.

W głębi Francji jeszcze straszliwsze działy się rzeczy jak w Paryżu i jego okolicy, z powodu nienawiści prowincjonalnych. W Prowancyi i Guiennie wojna domowa wybuchła: hrabia d'Alais plądrował wioski, a książę Epernon zaściełał drogi trupami.

Pokój saint-germainski był tylko chwilowém zawieszeniem broni. Po przyaresztowaniu Kondeusza, którego zuchwałość nie znała już granic, rozpoczęła się druga fronda, wojna szalona, nie mająca sobie podobnej w dziejach, zwana *babską* dla tego, że w niej wszystkie namiętności i wszystkie niskie żądze były poruszone. Wówczas ostatnie pojęcia sprawiedliwości i moralności znikły. Wiadac tylko samolubstwo, chciwość, bezwstyd i lekkomyśl-

ność w tym świecie, zajętym wyłącznie swojemi interesami i miłostkami. Królowa była kochanką Mazarina; Tureniusz i Conti podzielili się panią Longueville; pani Montpensier nie mogąc zaślubić Ludwika XIV, wzięła Kondeusza; marszałek d'Hocquincourt dla pięknych oczu pani Châtillon, przeszedł do Hiszpanów. Na szczycie ówczesnej Francji widzisz rozciągniętą taką sieć związków sromotnych, powiązanych kłamstwem lub intrygą.

Podczas kiedy wielcy tak się bawili, krew z ludności rozległego kraju wysysały upiory, bo jakże inaczej nazwać kilkaset rozpustnej szlachty, członków społeczności spróchniałej. W jesieni 1649 roku Duk Epernon ze swojego zamku la Trompette górującego nad okolicą, zbombardował miasto Bordeaux; 4,000 strzałów armatnich padło na ludność spokojną, jego pieczy powierzoną. Trzecią część miasta obrócono tym sposobem w perzynę. Na południu Francji wszędzie działy się podobne rzeczy. Można powiedzieć bez przesady, że Francja była wówczas dziesiątkowana.

Od tego czarnego tła francuzkich dziejów odbija z podwójną mocą niebiańskim światłem oświecona wielka i piękna postać świętego Wincentego a Paulo. Ale co mógł dokonać jeden członek przeciw powszechnej pladze? Wysilenia jego nadludzkie znikają jak kropla wody w morzu: przykład tylko pozostał i posłużył potomności.

Morowa zaraza srożyła się w całym kraju. Przpełnione szpitale stały się rozległemi grobami. W jednym Roueńskim szpitalu *de la Santé*, ośmiuset zarażonych leżało razem, chorzy i umarli pospołu. Kilkaset dzieci zniesionych do jednej szopy i porzuconych na słomę, przez parę dni bez pomocy w mękach konały, krzykiem i jękiem napełniając powietrze.

Pokonawszy frondę, król zaczął z kolei mścić się na bezbronnych mieszkańcach wsi i miasteczek. Téj zimy, która nastąpiła po wojnie, w samym Paryżu umarło z głodu 50,000 ludzi.

Zatrzymujemy się na tém, bo monotonia okrucieństwa ciężka, i temu co pisze, i temu co czyta. Wszystkie dokumenta składające książkę, o której mowa, powtarzają ciągle jedną nutę rozpacz. Rzadko można napot-

kać w historii ślady tak wielkiego zawichrzenia społecznego. Czuć koniec zużytego świata, koniec społeczności chorąg, która na chwilę zgalwanizowana, rzuca ostatni fałszywy blask, ażeby potem zapaść na zawsze w czarny grobowiec ostatnich Ludwików. Konanie jednak było jeszcze długie: widać je mianowicie po zwalczeniu frondy, zwalczeniu powierzchowném, bo rozruchy trwały jeszcze lat kilkanaście. Rezygnacya zwyciężonej szlachty wnet przerodziła się w nikczemne służalstwo; przyszło do tego, że dawny wróg monarchii, książę la Feuillade, ze swemi muszkietierami ukląkł na placu *des Victoires* przed statuą króla, którą wystawił swoim kosztem i co wieczór oświecał jak ołtarz.

Ostatecznie, z książki Feuillet'a można wyciągnąć następującą konkluzję: fronda była ruchem znakomitym; jestto krótka ale energiczna przedmowa do nieśmiertelnych protestacyj 1789 roku: nie fronda szlachecka, bo ta była tylko ostatnim wysiłkiem konającej feodalności, ale fronda parlamentarna, ta która w 1652 roku na 137 lat przed rewolucyą wyrzekła owe pamiętne słowa: „Wielcy są wielkimi dla tego tylko, że ich na naszych barkach nosimy”.

Dlaczegoż więc ta walka pozostała bezpłodną? dlaczego doprowadziła do płaskiego schlebienia Wersalowi? Bo nędza zniweczyła wszelką godność osobistą, wszelką siłę moralną, bo cofnęła ludzkość o trzy wieki, bo mocniejszą była od budzącego się ducha.

W Odeonie przedstawiają teraz z nadzwyczajném powodzeniem poetyczny ustęp mitologii greckiej, ułożony we dwa akty przez Teodora Banville pod tytułem: „*Dyana w lesie*” (*Diane au bois*). Przedmiot cudowny uplastyczniła uroczo fizyka, ta czarodziejka naszych czasów. Sam tytuł sztuki brzmi w uszach jak myśliwska pobudka, ciągnie w starożytnych tajemnic gęstwinę i odsłania najpiękniejszą.

Mitologia uważa Dyane za córkę Latony, ale nadaje jej zarazem więcej boski początek: powiada, iż wyszła z krynicy, szumu drzew i leśnej samotności. Wszystkie

czyste żywioły natury, wszech-czystość ciała i duszy Grecy uosobili w swój doryckiej dziewicy. Siostra Febusa, boga słonecznego, Dyana początkowo była księżycem, jedynym, jak słońce na niebie: samotność o czystości tego rodzeństwa świadczy. Ale podobnie jak Apollo, niby statua z płomieni, rychło wydobył się ze słońca, tak i Dyana z księżyca na ziemię zstąpiła. Księżycowy jój charakter zaćmiła łowczyni, bohaterka bez opieki i pana, żyjąca swobodnie w lesie.

Taką czcili ją Grecy, taka też przedstawia się wyobraźni poety i rzeźbiarza. Wysmukła, giętka; orszak nimf swoich o całą głowę przewyższa; podobna do Apolina, ma jego ledwie złagodzone rysy; miękkość niewieścia jój oblicza nie roztopia, nie ma w niém żadnej lubieżności: nie-domknięte usta wciągają oddech lasu; wejrzenie szybkie przeszywa jak strzała; budowa młodzieńca nie kobiety, prosta i twarda; lekkie jój stopy każą marzyć o chyżym biegu, jak skrzydła ptaka o locie. Obuta w kretejskie ciżemki, odziana lekką tuniką, z łukiem na ramieniu a głową odwróconą, jakby na wezwanie myśliwskiej trąbki, statua Dyany jest uosobieniem ruchu.

Jakimże urokiem ta bogini, przewodnica dziewiczego orszaku, ta księżniczka lasów, musiała napęlić starożytne bory! We wszystkich głosach powietrza brzmiał jój głos. Obecnością swoją uświęcała każde drzewo i szum gaju; każdy szmer wzruszający listkami, śmiertelnikowi wydawał się boskim oddechem; zamacone jezioro opuszczoną wanną Dyany; poświst wichru, jój strzałą, a księżycowego światła odbłaski sylwetką jój białych ramion. Świętym strachem przejęty być musiał młody strzelec wchodzący w knieje Taygetu. Pewnie myślał co pocznie, jeżeli mu bogini drogę zastąpi? jeżeli ją zejdzie niespodzianie w kąpieli, a ona pryśnie mu w twarz ową kroplą rosy, z której Akteonowi jelenie rogi wyrosły... Tak dumając strzelec przyspieszył kroku... a ujrawszy nad górą jasne półksiężyca, wyobrażał sobie że to dyadem uspionej na szczycie Dyany.

Grecy obawiali się bardzo Dyany, bo jak na niebie tak i na ziemi, mieniła się nieustannie: raz była opiekun-

ką słabych, to furją mściwą. Akteona psom rozszarpać ka-
zała, nieczystą nimfę Kalisto, zabiła—wymordowała córy
Nioby. Ale ostatecznie cnota przeważa jej winy i godna
jest pochwały, którą Ateńczycy na jej posagu wyrzili
„*Bardzo dobrej i bardzo pięknej Dyanie*”. W niej poganizm
zostawił swój najwyższy i najczystszy ideał: jest ona prze-
ciwstawieniem bóstw rozpustnych. Podczas kiedy nie-
śmiertelni cudzołożyli, Dyana ukryta w górach surowém
życiem protestowała przeciw olimpijskiej rozpuście: da-
wała przykład wstrzeźliwości i energii, wychowywała
zdrowe dusze w zdrowém ciele—uczyła hohatérstwa. Przy-
kład jej był zbawienny: wpływ jej wiał z lasu na pola
i rozpościerał się po Grecyi, podobny do chłodnego wia-
tru, który oczyszcza powietrze. Ona to zachęcała mło-
dzież do mężkich ćwiczeń, ona wywabiała ją na polowa-
nie, z dala od domów nierządnic i portyku retorów. Sko-
ro wyobrażenie Dyany zbladło, skoro cześć jej ustała,
cnota główna ubyła z wielobóstwa: Olimp utracił swój
wstyd jedyny i swoją ostatnią godność.

Nie goniąc dłużej za Dyana po lesie, obaczmy jak
wygląda w pięknej sielance Banvill'a.

Tylko dźwięk starożytniej liry mógł obudzić łowczy-
nią. Na tej lirze Banville rozkosznie grać umie. Istny to
Grek, może nie z czystej ateńskiego smaku epoki, ale
z czasów odrodzenia Alexandryi, z czasów Ptolemeuszów,
kiedy to muza starożytna stroiła się w przepychy Wscho-
du, niby Alcybiades na perskim dworze w szatę sa-
trapy.

Teatr przedstawia połanie świętego lasu Dyany.
Eros wygnany przez nią z Olimpu, w pasterskim stroju,
mszcząc się nad boginią, usiłuje uwieść jej najpiękniej-
szą nimfę Głanceę. Satyr Guifon wypatrzył schadzke, do-
niósł Dyanie o przeniewierstwie nimfy, i przyprowadził ją
żeby na własne uszy słyszała jak Amor o miłości prawi
nimfie dziewicy. Eros dostrzegłszy zbliżającą się Dyane,
ukrył się w mircie, ale żywy rumieniec nimfy go zdradził.
Rozgniewana Dyana wygnała Głanceę, co widząc Eros po-
przysiągł upokorzyć dumną boginię: dopatrzył słabe miej-
sce w zbroicy, którą swe serce okuła, więc o zwycięztwie
nie wątpi. Noc letnia rozzarza się pod jego tchnieniem,

powietrze pachnie i pali... rozkosz rozlana w naturze udziela się wszech stworzeniu. Eros w myśliwskim stroju Endymiona, kładzie się na wzgórku oświeconym księżycem...

Dyana ciągniona czarodziejskim magnesem, przybywa... spostrzega boskie dziecko, czuje płomień nieznany, zbliża się pocichu, z wyciągniętymi rękami, upuszcza łuk i składa pocałunek na ustach śpiącego. Eros chwytając w objęcia zawstydzoną boginią i jedwabnymi słowy przyśwaja dzikie jej serce mocno bijące w oburzonej piersi.

Scena śliczna! zazdrośny Satyr szyderczym śmiechem wnet przerywa słodki duet. Woła, że bogini wpadła w zasadzkę, że to Eros, pod postacią Endymiona.

Jak w ludzkie tak i w boskie miłości nie można się wdawać bezkarnie. Gniewna Dyana jednem skinieniem zmienia w kamień Satyrę. Po tém jakby strzałą z kołczana, wyrwawszy z serca przelotną namiętność, przebacza Erosowi i ucieka, w lesie skryć żalność swoją.

Takie są główne zarysy tego scenicznego poematu, podobnego do płaskorzeźby lekko wykutęj na marmurze. Szczebotanie niurk, podstęp Erosa, psoty Satyra, zemsta bogini, wszystkie przedmioty eklogi gromadzą się w tych małych ramkach; śmiech Arystofanesa przeplata westchnieniami elegii i piosenki pasterskie. Jestto koncert odegrany na mnogich instrumentach. Autor tylko zbytkiem bogactwa grzeszy. Rzekłbyś że czarodziejka Perraulta natchnęła muzę Banvilla: co chwila upuszcza różę albo dyament. Słuchacz mniema być w Indyach, nie w Olimpie. Azyatycki zbytek nie przystoi greckiej Dyannie tak prostej w pojęciu wiernych, a tak lakonicznej w poematach. Eurypides zowie ją *królową milczenia*. Nie należy obarczać ozdobami greckiej muzy: pięknnością jej nagość. Ale zawsze, rzadki to błąd w dzisiejszych czasach, zbytek poezji. Publiczność nie skarżyła się nań wcale i przyjęła sztukę Banvilla z sympatją, na jaką ze wszech miar zasługuje to greckie cacko.

Professor literatury starożytniej, pan Fallex przetłumaczył wierszem komedye Arystofanesa, ale te tylko,

które mogą czytać wszyscy. Oddał tym sposobem przysługę publiczności i autorowi. Ogół nie składając się z erudytów, nie ma potrzeby znać szczegółowo całego rusztowania, złożonego z alluzji przycinków i osobistości, dziś bez znaczenia; jak również nie ma potrzeby brukać umysłu w bezwstydzie, którego nasze czasy nie znoszą. Autor może tylko zyskać na tém wyzbieraniu samych pięknych i prawdziwych rzeczy, stanowiących jego nieśmiertelność. Tłumacz zostawił dość siły, szyderstwa i wesołości, ażeby Arystofanes tak oczyszczony, nie przestał być Arystofanese.

Niektóre zbyt rozwiozłe sztuki, nie znajdują się wcale we francuzkim zbiorze. Dla tych, co by chcieli poznać dokładnie czem była grecka komedia, pan Fallex wydaje przekład zupełny *Plutusa*.

Rzecz godna uwagi, że wszystkie satyry życia ówczesnego, wszystkie aluzye do wad i słabości ludzkich zawarte w greckiej komedii, najzupełniej się do terażniejszości nadają. Nazwiska inne—rzecz ta sama. Smagły biczek Arystofanesa napotyka zawsze jedne przywary i niedostatki. Z tego powodu tłumacz upatruje wielkie podobieństwo pomiędzy ludem ateńskim a paryżkim: wyższe warstwy, zdaniem jego, jeszcze więcej uderzające przedstawiają podobieństwo. Jestto zapewne tylko dowodem genialności Arystofanesa, że umiał kształt indywidualny nadawać zbrodniom i grzechom wiecznym, wspólnym całemu rodzajowi ludzkiemu. Tylko tak pisząc, można stworzyć dzieła nieśmiertelne.

Zostawiamy bez odpowiedzi pytanie, czy się godzi takie dzieła tłumaczyć na wrywki? Jest wiele do powiedzenia za i przeciw; jednak ostatecznie, korzyść ogółu powinnaby najśluszniesze względy estetyczne i literackie przeważać.

Przekład pana Fallex, w ustępach które chciał tłumaczyć, odznacza się skrupulatną wiernością, co tém większą jest zaletą, że przekład rymowany zazwyczaj koniecznie bywa dowolny. Krytycy umiejący po grecku, twierdzą, że tylko doskonale znający ten język tłumacz, mógł liczne trudności pokonać tak zręcznie, jak je pokonał pan Fallex. Przekład pozyskał zupełne uznanie akademii—a z czasem

zapewne i akademicką nagrodę otrzyma. Tytuł książki: „*Théâtre d'Aristophane scènes traduites en vers français par E. Fallex*”.

— Wyszedł piąty i ostatni tom „*Historyi parlamentu francuzkiego*” (*Histoire parlementaire de France*) pana Guizot. Na nim kończy się dzieło obejmujące treść wszystkich ważnych spraw politycznych i ekonomicznych, które rozbiegano w Izbach francuzkich od 1818 do 1848 roku. Autor poczytywał sobie za obowiązek poddać pod sąd opinii publicznej współudział, jaki miał w kierownictwie interesów Francyi. Nie można zaprzeczyć, że uczynił to z odwagą i sumiennością sobie właściwą. „*Trzy Pokolenia*” studjum ogłoszone w *Revue des Deux Mondes*, stanowią przedmowę do dzieła. Ponieważ jest ono zbiorem ważnych dokumentów, ludzie wszelkich pojęć w historyi Guizot'a będą musieli czerpać światło, jeżeli zechcą dokładnie poznać rządy restauracyi i Ludwika Filipa.

— Pan Lescur wydał pierwszy tom: „*Dziennika i Pamiętników Mateusza Marais*” (*Journal et mémoires de Mathieu Marais sur la Regence et le règne de Louis XV*). Marais pisarz społeczny, podaje wiele ciekawych szczegółów o regencyi. Dzieło będzie dopełnieniem ostatniej pracy Micheleta.

— Wyszło trzecie wydanie „*Historyi języka francuzkiego*” (*Histoire de la langue française*) uczonego członka instytutu pana Littré. Szybkość, z jaką się rozchodzi ta poważna praca, o jej użyteczności świadczy.

— Znalazł się nareszcie tłumacz „*Historyi rzymskiej*” Teodora Mommsen'a. Tak długa zwłoka w przyswojeniu sobie tak znakomitego dzieła, dawała smutne pojęcie o stanie nauk we Francyi; niezdolni pisać równie gruntownie Francuzi, powinni korzystać przynajmniej z prac sąsiadów, mianowicie skoro te stanowią epokę w sposobie pisania historyi.

Tłumacz francuzki pan Alexandre, wice-prezes trybunału Sekwany, wydał tom pierwszy, a raczej pierwszą księgę mówiącą o początkach Rzymu, pod napisem: „*Histoire Romaine par Théodore Mommsen, traduite par D. A. Alexandre*”. W tej pierwszej części archeologia większą

gra rolę, niż właściwa historia. Dzięki jednak jasności, z jaką rzecz napisana i przetłumaczona, Francuzi czytają chciwie. Cóż będzie, skoro tłumacz roztoczy przed ich oczyma historią Grachów, a mianowicie historią Cezara, owe arcydzieło historyografii społecznej.

— Wyszedł trzeci i ostatni tom przekładu dzieł Schillera, przez pana Barante. W tych trzech tomach mieści się sześć dawnych edycji. Wydanie odpowiada edycji przekładu Szekspira dokonanego przez pana Guizot.

— Henryk Bichelot wydał w dwóch tomach zupełną biografią Goethego, pod tytułem: „*Goethe, ses Mémoires et sa Vie*”. Jestto najrozleglejsze studium Goethego, jakie w języku francuzkim napisano.

— Rudolf Rey wydał znakomite dzieło pod tytułem: „*Histoire de la renaissance politique de l'Italie*”. Jestto najnowszy a zarazem najzdrowszy pogląd na sprawy włoskie. Rozpoczyna rzut oka na orężne prace wyswobodzenia; następnie autor daje obraz obecnego stanu i przyszłości półwyspu powołanego do najświetniejszych przeznaczeń.

— Hektor Berlioz wydał tom pod tytułem: „*A travers chants*” *études musicales, adorations, boutades et critiques*. Autor rezonuje uwielbienie swoje dla Beethovena, Gluck'a, Webera i Spontiniego. Mozarta ostro krytykuje. Pogląd jego na dzieła kompozytorów nowszych, choć bardzo surowy, jest trafny. Ustęp poświęcony muzyce Rossiniego, świetny, jak marsz Wilhelma-Tella.

— Moreau-Christophe wydał oryginalną książkę, p. t.: „*Le Monde des coquins*”. Jestto przegląd *trzecich sute-renów* Paryża, o których wspomina Wiktor Hugo. Do świata tego, zdaniem autora „należą ci wszyscy, którzy zrzucili prawowite jarzmo, a w warunkach życia uczciwego nie mogą znaleźć zaspokojenia żądz swoich”. Wyrok nieco za surowy: kiedy wszyscy złagodzenia kodeksu karnego się domagają, pan Christophe żąda obostrzenia kar. Myśl ogólna zasmucająco niska. Ale jest w tej książce mnóstwo szczegółów i liczb dotyczących zwierzchności francuzkiej, które są bardzo ciekawe. Autor policyjny zastęp zowie „*la Meute d'ordre public*”, porównanie swoje przeprowadza dowcipnie z dołu do góry.

